

SALONOWE
BURZEBOHDANA
GADOMSKIEGO

Zawsze i wszędzie śpiewam na najwyższych obrotach...

Po jubileuszu

Rozmowa z GRZEGORZEM MARKOWSKIM



W muzyce nie można się asekurować. W niej trzeba się zatracić, oddać jej całego siebie

- Nie czułem się za dobrze w smokingu, chociaż to chyba najpiękniejszy z mięsnych ubiorów. W teatrze przeszedłem szkołę ruchu scenicznego, emisji głosu, dykcji itp. I dzięki temu mogłem się na scenie jakoś poruszać. W końcu doszedłem do pełnej kontrolowanej swobody. Uczono mnie tego lat pięć.

- Czyli - szedłeś na kompromis?

- Miewałem różnego rodzaju wątpliwości, ale w ten sposób dojrzewałem zawodowo. Pozwolił klarował się mój pomysł na samego siebie, na to, co chciałem śpiewać. Bywały momenty bolesne, kiedy śpiewałem na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, gdzie chciano mi ścinać włosy, a miałem dość długie. Ostentacyjnie schowałem je pod marynarską czapkę. Kiedy zobaczyłem siebie w telewizji, tak się zde-

nerwowałem tym nieudanym występem z dość dziwną piosenką, że wypłem jednym haustem 300 gramów wódki i popłakałem się ze złości. Ale to też była nauka na przyszłość, co należy robić, żeby takich sytuacji uniknąć.

- W tym czasie musiałeś nauczyć się pokory...

- Tak i nadal ją mam w sobie. Widziałem zwichnięte kariery ludzi, którzy uwierzyli we własny geniusz i w to, że mają publiczność za sobą. Wydawało im się, że w tej materii nic się już nie może zmienić. Doszedłem do wniosku, że ludzie tworzący show-biznes są tak chimeryczni i historyczni, że potrafią zbudować fantastyczne rzeczy i za chwilę je zburzyć. Wtedy pomyślałem, że nie dam sobie rady i na 10 lat rzuciłem śpiewanie.

- ...?

- Dzisiaj staram się tak postępować, żeby nie przeżyć zawodu, gdy kończy się koncert i nie ma bisu. Jest to dla mnie jedynie sygnał, że przebiegł on na tyle drętwo, że nie udało się nam zdobyć publiczności. Wtedy myślę, że albo trzeba coś zrobić ze sobą, albo zmienić zawód. Zawsze mam wątpliwości wobec siebie i to jest ten rodzaj pokory, który mi zawsze towarzyszy. Dlatego, niezależnie od miejsca, śpiewam na najwyższych obrotach. Nie ma koncertów mniej lub bardziej ważnych, bo graliśmy z równym zaangażowaniem w Nowym Jorku (przed nami grał Joe Cocker, a po nas The Rolling Stones), a potem na koncercie charytatywnym w małej miejscowości w Polsce.

- Miałeś 30 lat, gdy zostałeś wokalistą rockowym. To wyjątkowo późno...

- Dopiero w tym wieku poczułem potrzebę manifestowania wolności, którą było zdzieranie z siebie podkoszulka, oblewanie się wodą itp. Na koncert w Ursusie kupiłem sobie piękne, ale za ciasne buty, które w pewnym momencie zdjąłem na estradzie, co wydawało mi się aktem odwagi i elementem wręcz pornograficznym. Myślałem, że będą gwizdy lub ktoś się obrazi, a tymczasem nikt tego nie zauważył. Od tego czasu pomyślałem, że kontrolowana swoboda na scenie daje mi uczucie pełnej swobody, a ludziom się podoba. Jak jestem mokry, śpiewa mi się lepiej, czuję się kompletnie odjechany, wolny od tego, co niesie codzienność.

- Czy uprawianie muzyki rockowej wymagało od ciebie poświęcenia?

- To trochę tak, jak zaprzędanie duży diabłu, bo wkracza się w czarowną krainę, ale zarazem bardzo grząską. Z jednej strony jest uwielbienie ludzi, dobre honoraria, smak sukcesu, a z drugiej - niepewność, strach, walka o rynek. W dodatku konkurencja sprawia, że relacje między kolegami z branży nie są miłe i ciepłe. O przyjaźnie jest tu trudno, nawet o poprawne znajomości. Gdy sukces jest coraz większy, wymagania publiczności również rosną. Grasz wspaniały koncert, ale po nim wracasz do hotelu i masz kaca, bo przed chwilą oglądało cię 15 tysięcy ludzi, a teraz siedzisz w małym pokoiku i nie wiesz, co ze sobą zrobić. Jedni piją to alkoholem, inni biorą proszek na sen. Nie mogą zasnąć, ja też mam z tym duży problem. Gdy jest pięć koncertów jeden po drugim, wracam do domu całkowicie wyżęty. Ale ja mam

GRZEGORZ MARKOWSKI, lat 53. Waga, na początku obiecujący piosenkarz pop music (współpracował z grupami VOK, Victoria Singers, reprezentował Polskę na festiwalach piosenki w Cavan i Castelbar). W 1980 roku całkowicie zmienił wizerunek i... dołączył do zespołu rockowego PERFECT, aby po jego rozwiązaniu w 1986 roku powrócić i stać się liderem jednej z najpopularniejszych formacji rockowych w Polsce. 4 sierpnia tego roku wraz z kolegami dał wspaniałe jubileuszowe show (25 lat działalności) na II Festiwalu Jedynki w Sopocie. Publiczność śpiewała z nimi wszystkie przeboje, a Polskie Radio wręczyło zespołowi Złote Mikrofony.

- Czy to prawda, że mając 16 lat śpiewałeś na weselach i zabawach?

- To prawda. Miałem zespół, z którym graliśmy w celu zarobkowym dwa lata. W repertuarze weselnym mieliśmy bardzo różne piosenki, na bisach naturalnych już coś bardziej wysmakowanego, np. utwory Deep Purple, Led Zepplin, Jimiego Hendriksa. Musieliśmy wytrzymać 6 godzin grania i śpiewania, co nie jest łatwe. Była to „szkoła komandosów” dla wokalistów.

- Podobno śpiewałeś także dla pijanych klientów różnych restauracji?

- Tak się również zdarzyło, ale przede wszystkim dlatego, żeby utrzymać zonię i dziecko. Zonię, co prawda, pracowała jako tancerka, ale miała niewystarczające pieniądze, żeby podlegnąć budżet całego domu i rodziny. Występowałem w „Kamieniolomach” w Hotelu Europejskim, w „Czarnym Kocie” gdzie przychodziło różne towarzystwo, często panie uprawiające najstarszy zawód świata, które - jak sobie podpiły i się nudziły - to strzelały do nas z groszku. Nie bardzo wiedzieliśmy, jak traktować takie zachętki. Ale była to nie tylko cenna strona show-biznesu, lecz także szkoła pokory.

- Nie czułeś się trochę upokorzony tymi występami?

- Czułem, bo myślałem o występach w zupełnie innych miejscach i dla innej publiczności, ale co było robić? Występowałem także w Teatrze Na Targówku, w „Podwieczniku przy mikrofonie” dla wyjeżdżających plaćki, bo występowałem jako pierkoczy, w czasie gdy podawano jedzenie. Ludzie jedli, a mnie śpiewającemu dusza drżała.

- A jak się czułeś, gdy ubrany w biały smoking tańczyłeś walca, śpiewając „Czy słyszysz, do tafica zaprasza nas walc z dawnej epoki”?

szczęście wracać do wspaniałego domu, do cudownej żony, ale inni nie mają tego.

- W tej muzyce nie ma miejsca na asekurację?

- Jeżeli ktoś asekuruje się w muzyce, to oznacza, że w ogóle nie jest artystą. W niej trzeba się zatracić, oddać jej całego siebie.

- Podobno w ciągu miesiąca miałeś 67 koncertów. Jak to możliwe?

- Niestety, ale to się zdarzyło wiele lat temu i nie chciałbym tego więcej powtórzyć. Cierpiałem z tego powodu, bo po 25. koncercie każdy następny był trochę gorszy.

- Już w 1978 roku groziła ci niedomykalność strun głosowych i lekarz zabronił śpiewania. Jak było z kondycją i głosem w kolejnych latach?

- Miałem guzki na strunach, które robią się w momencie przeciążenia mięśnia. Zdarza się to najczęściej z wysiłku, gdy śpiewa się w temperaturze poniżej 18 stopni. Śpiewałem na koncertach, gdy było tylko 8 stopni. Kiedyś polipy w gardle usuwano się skalpelem, teraz laserem. Po zabiegu trzeba pauzować minimum trzy miesiące. Przydarzyło mi się to dwukrotnie. Na szczęście mam dość odporne gardło.

- Był także alkohol, narkotyki...

- Zawsze byłem ciekawy wszystkiego. Dzisiaj mogę tylko powiedzieć głośno: narkotykom wielkie NIE! Spróbowałem ich, bo chciałem zobaczyć, co czuł Jimi Hendrix, The Beatles, Janis Joplin? Czy one rzeczywiście dają takie rozświetlenie duszy, że otwierają się jakieś dodatkowe klapki, że podobno wylatuje się w kosmos i spotyka się w przestrzeni z aniołami w gwiazdnym pyłku. Ale przekonałem się, że to nieprawda, że nam się tylko tak wydaje. Alkohol towarzyszy mi od 20 roku życia. Od kiedy ten zawód uprawiam, staram się bardzo pilnować. Myślę, że nie straciłem kontroli nad sobą, chociaż lubię alkohol i dzisiaj stać mnie na dobre marki, a kiedyś pijałem tanie wina i wódkę „Bałtycka”.

- Pileś w czasie koncertów?

- Zdarzyło się i kiedy zobaczyłem na taśmie wideo siebie w trakcie śpiewania po alkoholu, zacząłem się bardzo kontrolować.

- Na koncercie w Szczecinie zdjęłaś spodnie. Czy także majtki i co chciałeś tym zachowaniem wyrazić?

- Spodnie zdjąłem na oczach publiczności, ale majtki wtedy, gdy nie było mnie widać. Był 1982 rok i po takim incydencie (ja goły) prawdopodobnie rozwiązano by kapelę. Za to czułem wolność, ale potem starałem się tego nie powtórzyć. Nie chciałem epatować swoją nagością, ale liczyłem, że publiczność zrobi to samo. 15 tysięcy ludzi stoi na gólas i ja też na scenie jestem goły. Pomyślałem, że byłoby wtedy pięknie, ale tak się nie stało. Uciekłem do garderoby, menedżer popukał mnie po głowie,

Nigdy nie miałem ochoty tego powtórzyć.

- Zapewne chciałeś być sobą, jak w piosence, którą śpiewasz?

- Myślę, że wszyscy mamy w sobie coś takiego, bo plaże nudystów nadal cieszą się wielką popularnością. Nie uważasz, że bycie nagim wśród natury to coś milego?

- Publiczność kocha swoich idoli. Czy miałeś w ciągu tych 25 lat wyjątki objawy sympatii?

- Raczej tak, ale zdarzało mi się słyszeć gwizdy ze strony członków fan clubów konkurencyjnych zespołów, z którymi graliśmy wspólne koncerty.

- Wyszatałeś się przez te wszystkie lata na estradzie. A jak było poza nią?

- W życiu nikogo nie skrzywdziłem, bo tego nie potrafię. Jeżeli już, to nieświadomie. Mam słabostki, jak każdy.

- Ile burd hotelowych odnotowano w wykonaniu twoim i kolegów z Perfectu?

- Trochę ich było. Jest kilka hoteli, które oświadczyły, że nigdy nie przyjmą u siebie zespołu Perfect. My raczej nie niszczyliśmy sprzętu, tylko bawiliśmy się do 8 rano. Były zabawy z gaśnicami, ale nie byliśmy chuligańscy, tylko trochę łobuzowaci.

- A kto wyrzucił garnek z barszczem z XII piętra na ulicę?

- Nikt z nas, to kolega, dzisiaj znany piosenkarz, bo był zdenerwowany. Garnek upadł na ulicę, i tak dupnął, że zachlapało się pół bloku do trzeciego piętra.

- Czy kiedykolwiek interweniowała policja?

- Nie. Policja nawet w stanie wojennym przychodziła do nas z płytami po autografy.

- Dlaczego w działalności Perfectu nastąpiła aż 10-letnia przerwa?

- U szczytu powodzenia Zbigniew Hołdys doszedł do wniosku, że dalej nic ciekawego go już nie czeka i odszedł z show-biznesu. Myślę, że on przejadł się sukcesem, tak jak dziecko słodyczkami. Okazało się, że siła jest w ludziach, bo wszystkie zespoły, które zakładał, szybko kończyły swój żywot. Prawdziwego powodu rozwiązania Perfectu nie znam do tej pory.

- Czy zaprosiliście Zbigniewa Hołdysa na jubileusz zespołu do Sopotu?

- Oczywiście. Ale na zaproszenie ze strony telewizji odpowiedział SMS-em w postaci wielkiego błuzgu. Była to ostatnia propozycja artystyczna z naszej strony dla niego.

- Czy byli inni wykonawcy, którzy odmówili?

- Wszelkie formalności, także zapraszanie naszych gości według zrobionej wcześniej listy, załatwiała już sama telewizja. Nie wszyscy mogli wystąpić w tym terminie.

- Podobno grymasiła Kayah?

- Kayah jest zapracowana, odbyliśmy tylko jedną krótką próbę.

- Skąd pomysł na zaproszenie Hanny Banaszak i Ryszarda Rynkowskiego?

- Hanię Banaszak zaprosiłem na swój benefis w Teatrze STU, gdzie wspólnie zaśpiewaliśmy bossa novę „Nie możesz teraz odejść”. Teraz postanowiłem zaprosić ją ponownie i dałem możliwość wyboru piosenki. Wybrała „Niewiele ci mogę dać”. Byłem dumny i szczęśliwy, że Hania przyjęła zaproszenie. Rysia Rynkowskiego uwielbiam. Też dostał pełną swobodę wyboru piosenki. Wybrał „Pepe, wróć”. Wykonaliśmy ją razem. Myślę, że dość fajnie wypadła.

- Dlaczego twoja córka Patrycja ubrała się jak na stypę?

- Nie zawsze stylisci mają trafne propozycje, a młodzi artyści są w tym względzie zagubieni i zdają się na ich gusta. Do mnie stylisci już nie podchodzi. Mam trzy koszule, dwie pary skórzanych spodni i to mi wystarczy. Dla mnie Patrycja była najlepsza.

- Jakie są wasze relacje?

- Przyjacielskie, chociaż bywają momenty, gdy staram się być ojcem i mam dyktatorskie zapędy. Patrycja ma czupurny, niepokorny charakter. Muzycznie sobie ufamy. Ja nie do końca zgadzałem się z jej wyborami muzycznymi, ale okazywało się, że miała rację.

- A z żoną Krystyną?

- Nasze serca biją w tym samym rytmie i z taką samą częstotliwością. Jesteśmy jedną osobą w dwóch postaciach.

- Jak bawiliście się na imprezie po sopockim koncercie?

- Pojechaliśmy do hotelu z naszymi przyjaciółmi, z którymi czasami pływamy i posiedzieliśmy razem do czwartej nad ranem, gwarząc na różne tematy i planując wyjazd na pływanie.

- Czy dużym stresem był dla ciebie występ w Sopocie?

- Minął tydzień od tego występu, a ja się z tego jeszcze nie otrząsałem. W nocy śni mi się, że śpiewam duet z Kayah, a o piętej nad ranem duet z Ryszardem Rynkowskim, albo że się przebieram, albo słyszę głos reżysera Bolesława Pawicy, orkiestrę Wiesława Pieregórki, albo uwagi producenta festiwalu Doroty Szpetkowskiej. Jubileusz ciągle we mnie pobrzmiwa.

- Co teraz przed tobą i zespołem?

- Koncerty mamy zaplanowane do końca października. Jednocześnie odbywają się pierwsze spotkania z muzykami w sprawie nowej płyty.

- Czy trzydziestolecie też będziecie obchodzili tak hucznie i medialnie?

- Chciałbym. Patrząc na starszych kolegów na Zachodzie, widzę, że wszystko jest możliwe. Jeżeli chcemy dociągnąć do trzydziestki, to trzeba będzie ograniczyć używki, pić więcej herbaty miętowej i wtedy ten jubileusz spokojnie zrobimy.

**Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI
Zdjęcia: MAŁGORZATA IWANICKA**